

Mieliśmy wielką misję przed sobą

Z Mychajłem Horyniem rozmawiają
Bogumiła Berdychowska i Ola Hnatiuk

Bogumiła Berdychowska i Ola Hnatiuk: *Urodził się Pan w 1930 roku na Zachodniej Ukrainie, w rejonie żydaczowskim. Żydaczów był wówczas powiatem...*

Mychajło Horyń: Nie, to nie był powiat. A jeżeli już mowa o tym, gdzie się urodziłem, to sprecyzujmy od razu: to była wieś Kniseło w powiecie Bóbrka w województwie lwowskim. Nasza wieś była bardzo stara; dawniej nazywała się Kniaże Seło. Potem nazwa została skrócona i stąd wzięła się nazwa obecna. Gdy byłem dzieckiem, wyobrażałem sobie, że w tej naszej wsi żył niegdyś jakiś kniaź. Miałem może pięć czy sześć lat, kiedy zobaczyłem na skraju wsi rozwalony młyn, a obok niego młyńskie koło z piaskowca, na którym widniał napis „Kniaże seło”. Wtedy przekonałem się, że prawdziwe są opowieści o tym, że Kniseło to Kniaże Seło.

— *Jaka była Pana rodzina?*

— Była to bardzo aktywna i świadoma rodzina ukraińska. Mój dziadek ze strony ojca był przewodniczącym Rady Wiejskiej (*Silska rada*) w czasach Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Kiedy po przegranej Ukraińców ustanowiono polską władzę w Galicji, dziadek trafił na krótko do jakiegoś obozu filtracyjnego. Ojciec był aktywny politycznie od lat młodzięcych, należał do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Atmosfera w moim domu była patriotyczna; marzyliśmy o niepodległym państwie ukraińskim. Byliśmy przekonani, że przyjdzie taki czas, kiedy Ukraina stanie się niepodległym państwem, a Galicja połączy się ze wschodnią Ukrainą. O tej przyszłej Ukrainie wciąż rozmawiało się w domu. Chłopi, którzy się do nas schodzili, sprzeczali się o nią, a ja siedziałem gdzieś w kącie i chłonałem te rozmowy. W jakiejś mierze to one właśnie mnie ukształtowały.

— *Jakie było wasze najbliższe sąsiedztwo?*

— Wielkie znaczenie miały dla mnie kontakty naszej rodziny z dyrektorem szkoły, którym był Polak, nazywał się Kordal. On i jego żona byli moimi pierwszymi nauczycielami (przed wojną ukończyłem trzy klasy). Stosunki naszych rodzin były bardzo specyficzne: niezwykle taktowne, kiedy szło o kontakty sąsiedzkie, i bardzo pryncypialne, kiedy sprawa dotyczyła polityki. Na przykład na Boże Narodzenie przychodziła do nas pani Kordalowa i mówiła do mojej mamy: „Stefciu, upiecz mi miodownik, bo robisz to znacznie lepiej ode mnie”. Mama piekła. A kiedy przychodziła Wigilia, pani Kordalowa przynosiła nam na tacy wszystko to, co na Święta upiekła, ugotowała czy usmażyła. Dwa tygodnie później, na nasze święta moja mama brała swoją tacę i zanosila Kordalom świąteczne wypieki.

Ale obok tych stosunków czysto sąsiedzkich były też relacje, ze tak powiem, na poziomie politycznym, kiedy dochodziło do rozmów między moim ojcem a Kordalem (a mieszkaliśmy płot w płot). Mój ojciec stawał z jednej strony płotu, Kordal z drugiej i kłócili się, nie przebijając w słowach. Kordal krzyczał do mojego taty: „Ty chłopie, ty chamie”; mój ojciec proponował Kordalowi, by go pocałował w pewne miejsce. Patrzyłem na to i nie mogłem pojąć: tu kłóca się bez opamiętania, a jak przychodzą święta, to świadczą sobie uprzejmości. Coś było specyficznego u ówczesnych naszych chłopów, jakaś wrodzona godność. Nasi chłopcy, którzy nie mieli przecież żadnego wykształcenia zachowywali się z godnością w przeciwieństwie do współczesnych, choć ci kończyli jakieś szkoły. Było nie do pomyślenia, by w polskie Boże Narodzenie nasi chłopcy — Ukraińcy pojechali na przykład do lasu po drzewo albo pracowali w obejszczu. Nie świętowali polskich świąt, ale też nie robili niczego, co mogłoby te święta zakłócić. W stosunkach między Polakami a Ukraińcami był jakiś takt. Pamiętam, że jako dziecko często sobie myślałem: „Proszę, o politykę się kłóć, ale szanuj nawzajem swoje wartości”.

— *Jak wyglądały stosunki w szkole?*

— To było bardzo ciekawe, w końcu rzecz dotyczyła siedmioletnich dzieci. Na przykład nauczyciel mówi: „Michał, zaśpiewaj «Jeszcze Polska nie zginęła»”. A my na przerwie umówiliśmy się, że będziemy tak śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła, ale zginąć musi. Jeszcze Polak Rusinowi buty czyścić musi...”

Jak już mówiłem, Kordal kłócił się z moim ojcem. W tych kłótniach, rzecz jasna, byłem po stronie ojca i przemyślałem, co by tu zrobić Kordalowi na złość. A miał on spory zagon truskawek, których wtedy jeszcze

nasi chłopci nie uprawiali. Zebrałem więc grupę chłopaków i mówię: „Pójdziemy do Kordala i podepczemy mu wszystkie truskawki”. Łatwo powiedzieć, ale jak to wykonać, kiedy pole z truskawkami rozciągało się pod samymi oknami domu dyrektora. Zdecydowaliśmy, że przeczolgamy się po nich na brzuchu. Tak też zrobiliśmy. Kordal słuchał przy oknie radia, a my we dwóch — bo inni chłopcy nie poszli z nami — przeczolgaliliśmy się cichcem po tych truskawkach. Zniszczyliśmy wszystkie. Moje spodnie i podkoszulek były całe czerwone od truskawek. Przychodzę do domu, mama mnie pyta: „A ty, synku, gdzieś był? Popatrz, jak ty wyglądasz! Jak ja dopiorę te rzeczy?” Przychodzi mój ojciec: „Gdzieś ty był?” Ja na to: „Byłem u Kordala. Zniszczyłem jego truskawki”. Tato na to: „Czy ja cię tam posłałem?” „Nie, sam poszedłem”. „Kto cię tam posłał?” „Sam poszedłem”. Na to tato ściągnął pas i zdrowo dostałem w skórę. Na koniec powiedział tylko: „Żeby mi to było ostatni raz!” Dla mnie — małego chłopca — truskawki, Kordal i to, że dostałem takie lanie, splotło się w jedno, więc sympatii do Kordala, jak się mogą Panie domyślać, nie czułem wcale. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, iż ze względu na to, że uczyłem się dobrze, Kordalowie w szkole dobrze mnie traktowali. Kiedy czasami zachodziłem do nich do domu, bo mieli dzieci w moim wieku, zawsze zapraszali mnie na obiad. Czasami jadłem, czasami odmawiałem, ale razem wzięwszy te nasze stosunki sąsiedzkie były dobre. Nie zmieniało to jednak faktu, że gdy dochodziło do polityki, zgody nie było.

— *Jaka była sytuacja materialna waszej wsi?*

— Ogólny poziom życia wsi może nie był zbyt wysoki, ale jednocześnie nikt nie głodował. Było w niej trzech lub czterech gospodarzy, którzy mieli więcej niż 7–10 hektarów ziemi. Większości mieszkańców naszej wsi żyło się znośnie. Biedowało może dziesięć rodzin, który utrzymywały się z pracy u bogatszych gospodarzy. Pomagali przy żniwach czy przy kopaniu kartofli. Za jeden dzień roboczy gospodarz płacił im 10 kilogramów pszenicy. We wsi było 145 numerów, z czego 35 rodzin to byli Polacy, a 107 — Ukraińcy; były też trzy rodziny żydowskie. Na te 145 numerów przypadało 600 hektarów ziemi ornej. We wsi była cerkiew i był kościół. Działała organizacja oświatowa „Proswita” oraz ukraińska spółdzielnia rolnicza, a także polskie Kołko. Budynek naszej Kooperacji zbudowany był z gliny i drewna, a budynek polskiego Kołka z cegły.

W stosunkach między Polakami a Ukraińcami był jakiś takt.

— *Jakie były stosunki między Ukraińcami a Polakami, którzy żyli w Knisele?*

— Ogólnie mogę powiedzieć, że w stosunkach sąsiedzkich obie społeczności odnosiły się do siebie tolerancyjnie. Ta tolerancja kończyła się jednak, kiedy chodziło o politykę. Tam, gdzie zaczynała się polityka, zaczynały się konflikty. To było wręcz zdumiewające, jak dokładnie nasi chłopci potrafili odróżnić sprawę codziennego sąsiedztwa od polityki.

— *Pański ojciec należał do OUN...*

— Tak. Początkowo był przewodniczącym organizacji w naszej wsi, a później organizacji rejonowej. Muszę dodać, że moja mama była kuzynką Mykoły Lebedia¹. Dlatego te nacjonalistyczne kontakty w naszej rodzinie były bardzo silne.

W 1933 roku mojego ojca aresztowano po raz pierwszy. Pamiętam, że kiedy policjant — zresztą nasz znajomy, pan Zozulak — zabierał mojego ojca, rozpląkałem się i powiedziałem, że zabiję policjanta. W 1938 roku, kiedy powstała Ukraina Zakarpacka, mojego ojca aresztowali po raz drugi. Wtedy już rozumiałem, że pomiędzy polską władzą a Ukraińcami trwa walka. Ojciec był w areszcie tylko dwa lub trzy miesiące, ale bardzo go tam pobito. W rok po tym drugim aresztowaniu wybuchła II wojna światowa. W całej naszej wsi był tylko jeden radioodbiornik, u pana Kordala. Z całej wsi zeszli się ludzie, by posłuchać radia. Z tamtej nocy 1 września pamiętam, jak ktoś w radiu powiedział, „że nie oddamy ani jednego guzika”. Potem nasi mówili, że Polacy oddali nie tylko guzik, ale i płaszcz. Słuchaliśmy z tatą radia u Kordala do drugiej w nocy. Potem wróciliśmy do domu. Położyliśmy się spać (spaliśmy razem z tatą pod oknem), tato zapalił papierosa, jak zwykle przed snem. Raptem usłyszeliśmy tupot biegnących pod oknem ludzi, po chwili ktoś załomotał w nasze drzwi, w końcu wyważone drzwi wypadły. Do domu wbiegli żołnierze z żandarmerii polowej. Na czele stał wspomniany już policjant, pan Zozulak, który podszedł do mojego ojca i powiedział: „Mikołaju, zbieraj się, jesteś aresztowany”. Mój ojciec szybko się zebrał, żandarmi wyprowadzili go z domu. Pobiegliśmy z mamą za nim, żeby dowiedzieć się, dokąd go zabierają. Patrol skierował się w stronę cmentarza. Pamiętam jak dziś moje przerażenie, że za chwilę rozstrzelają mojego ojca. Okazało się jednak, że obok cmen-

¹ Mykoła Lebed' (ur. 1909) działacz Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, w 1934 r. współautor zamachu na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, w 1943 r. — po aresztowaniu przez Niemców Stepana Bandery — stanął na czele OUN; organizator UPA, współzałożyciel UHWR (Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwolenczej). Według części historyków jeden z głównych architektów akcji antypolskich na Wołyniu w 1943 r.

tarza stała ciężarówka z żołnierzami. Tylko jej środek był wolny, czekał na aresztowanych owej nocy — mojego ojca i Iwana Tybora. Kazali im wejść na ciężarówkę, po czym przewrócili ich na podłogę, a żołnierze stanęli na ciałach powalonych. Do dzisiaj nie mogę zapomnieć tego widoku. Ciężarówka odjechała. Przez następne dni mama usiłowała się dowiedzieć, co się stało z ojcem — bezskutecznie. Wrócił do domu dokładnie tego dnia, kiedy bolszewicy wkroczyli do Lwowa. Był bardzo pobity. Wydano na niego zresztą wyrok śmierci, bo oskarżono go o dywersję: poprzycinanie drutów telefonicznych między Bóbrką a Chodorowem. W ciągu jednej nocy dywersanci zniszczyli tę linię telefoniczną. Mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego, ale w akcji brał udział pewien człowiek, który mu szył ubranie i miał w notesie zapisane jego nazwisko. Dlatego właśnie aresztowano mojego ojca. Tak jak mówiłem, skazano go na śmierć, ale w międzyczasie Niemcy zbombardowali więzienie i strażnicy więzienni oraz więźniowie puciekali.

— *Jak wyglądały pierwsze tygodnie okupacji sowieckiej?*

— Po kilku dniach od aresztowania ojca w naszej wsi pojawił się polski oddział: żołnierze dobrze umundurowani, dobrze obuci, błyszczące pasy, konie dorodne — jak pamiętam wydawało mi się, że jest to armia „pierwsza klasa”. Było ich mniej więcej dwudziestu, trochę się pokręcili po wsi i pojechali. Nie odjechali pewno jeszcze nawet na kilometr, kiedy do wsi wkroczył drugi oddział. Rażące przeciwieństwo tego pierwszego: małe konie, zamiast butów zawiązane onuce, żadnych błyszczących pasów. Wyskoczyłem na drogę, żeby lepiej widzieć: do wsi wjeżdżali Moskale (u nas nikt nie mówił „bolszewicy” czy „sowieci”, wszyscy mówili „Moskale”).

I tu przytrafiła mi się taka charakterystyczna historyjka. Najpierw krótka dygresja. Za Polski nikt nie zwracał uwagi, że tacy chłopcy jak ja (miałem wtedy dziewięć lat) nosili czapki czy kaszkiety z tryzubami. Kiedy organizowaliśmy festyny, najpierw stawialiśmy słup, na którym wieszaliśmy niebiesko-żółtą flagę. Kiedy było przedstawienie teatralne, trzeba było wystawianą sztukę zarejestrować wcześniej w starostwie i jeżeli dotyczyła ona ukraińsko-polskich konfliktów, na przedstawieniu mógł być policjant, ale nie miał prawa ingerować w przedstawienie.

Wyskoczyłem więc na drogę, żeby zobaczyć to dziwne wojsko, które kojarzyło mi się tylko z Tatarami. Na przedzie jechał szczupły, przystojny, może trzydziestoletni oficer. W pewnym momencie zawołał mnie do siebie. Kiedy podeszedłem, oficer kazał mi zdjąć tryzub. Rzuciłem tylko: „Nie

zdejme” i uciekłem do domu. Opowiedziałem ojcu, co się stało, on na to: „Dobrze zrobiłeś”.

Po kilku dniach przyszedł do nas sędzia rejonowy i zazałał, żeby tato oddał konie, które przyprowadził ze sobą ze Lwowa: „Oddajcie konie, bo to konie państwowe”. Na to mój ojciec mówi: „Słuchajcie, kiedy zaczęła się wojna, Polacy zabrali moje konie i wóz, więc inne sobie przyprowadziłem ze Lwowa. Jak oddacie mi konie i wóz, które zabrali Polacy, oddam wam te”. Sędzia nawet nie chciał o tym słyszeć, w pewnym momencie zobaczył, że na ścianie wisi tryzub: „Zdejm to”. Na to tato: „A dlaczego mam to zdjąć?” Sędzia zaczął na niego krzyczeć. Mój ojciec, choć nie był słusznego wzrostu, wyciągnął rękę i huknął na sędziego: „Wynocha z mojego domu!” Oczywiście, ojciec nie miał zielonego pojęcia, kim jest sędzia rejonowy. Na wschodniej Ukrainie nikt by sobie nie pozwolił na coś podobnego. Ale za Polski takie rzeczy były możliwe. Polska policja miała świadomość jakiejś granicy, której jej nie wolno było przekroczyć. Polak nie pchał się do domu i nie próbował się w nim szarogęsić. Za Polski w domu mogliśmy mieć naszą narodową flagę, tryzub, nikt się tym nie interesował. A Moskale zaczęli od tego wypychania się do naszych domów. Tak więc mój ojciec wypędził sędziego. Dosłownie po paru minutach przybiegł przewodniczący Rady Wiejskiej (był już wówczas wybrany), nasz znajomy, i rzekł do ojca: „Mykoło, uciekaj, bo sędzia chce cię aresztować”. W ten właśnie sposób mój ojciec zszedł do podziemia. To było bardzo specyficzne podziemie: obserwowano, czy we wsi są Moskale. Jak byli — tato przebywał w ukryciu, jak ich nie było — tato był w domu.

— *W 1941 roku okupacja sowiecka została zastąpiona przez niemiecką. Dla Ukraińców pierwszym wydarzeniem związanym z Niemcami było ogłoszenie niepodległości przez rząd Stečki.*

— Po ogłoszeniu niepodległości została zorganizowana ukraińska policja. Ale po kilku tygodniach Niemcy ją rozpędzili, zaczęły się aresztowania i represje w stosunku do ludzi aktywnych politycznie. Zdarzały się wtedy przypadki niezwyklej głupoty ze strony Niemców. Na przykład w sąsiedniej wsi, Bakiwciach, ktoś zastrzelił przejeżdżającego oficera niemieckiego. Niemcy w odwecie aresztowali kilkunastu chłopów, zawieźli ich do Stryja i tam rozstrzelali. To był pierwszy tego typu przypadek w naszej okolicy. Ludzie nie mogli uwierzyć w takie okrucieństwo. To było w 1941 roku. Rok czy dwa lata później podobne wydarzenie miało miejsce u nas. Posterunkowym był niejaki Józio (chyba polski folksdojcz), olbrzymi mężczyzna, ważył chyba ze 120 kilogramów. Jeździł na motorze. Zawsze zastanawialiśmy się, jak ten motocykl wytrzyma taką tuszę.

Józio był bardzo brutalny. Przypominam sobie, jak pewnego razu złapał Żydówkę (była z sąsiedniej wsi; Żydów z naszej wsi już wcześniej Niemcy wywiezli i zabili), postawił pod ścianą i bawił się strzelając do niej jak do tarczy strzelniczej. Pamiętam, kiedy patrzyłem na to, myślałem, że gdyby Józio wpadł w moje ręce, mógłbym go zabić. Tak wtedy myślałem, a przecież miałem może dwanaście lat.

Pewnego razu, kiedy Józio jechał przez wieś, ktoś strzelił do niego z budynku „Proswity”. Józio został ranny w brzuch i pamiętam, że jechał jeszcze na tym swoim motorze z kilometr i strasznie krzyczał. W końcu stoczył się do rzeki i tam skonał. Ale co to oznaczało zabić we wsi niemieckiego policjanta? Było to równoznaczne z tym, że zginie poł wsi. Nikt nie odważył się podejść do trupa. Do wieczora przeleżał w tej rzece. W nocy ktoś zabrał ciało, ktoś inny motocykl. Następnego dnia przyjechała niemiecka policja i zaczęła rozpytywać o Józia. W całej wsi nie znalazł się żaden donosiciel, który by powiedział, co naprawdę się wydarzyło. A przecież Niemcy mieli już wówczas swoją agenturę. Wszyscy zgodnie mówili, że Józio przejechał przez wieś i pojechał dalej, nie wiadomo dokąd. W ten sposób nasza wieś została uratowana.

Moskali nikt nie witał u nas z radością, natomiast Niemców początkowo powitano z wielkim zadowoleniem, ale z biegiem czasu narastała wrogość do nich. Pod okupacją niemiecką bardzo szybko zaczął rozwijać się ruch narodowowyzwolenczy. Poziom uświadczenia politycznego był tak wysoki, że co niedzielę cała młodzież ze wsi zbierała się w czytelnia, przeglądała gazety, porządkowała bibliotekę, przygotowywała przedstawienia teatralne, śpiewała. Niedzielny rozkład dnia młodych ludzi był ustabilizowany: najpierw msza, potem obiad, a po obiedzie czytelnia „Proswity”. Bardzo szybko, gdzieś w 1943 roku zaczęto organizować u nas oddziały partyzanckie. Część młodzieży poszła do partyzantki. To było jak wielkie święto: przyjeżdżali jacyś ludzie, wzywali 8–10 chłopców i mówili im: „Idziecie na szkolenie”.

— *Co to konkretnie znaczyło, czy był to jakiś rodzaj mobilizacji? A co się działo, jeżeli jakiś młody człowiek nie chciał iść na to szkolenie?*

— Takich przypadków, żeby ktoś nie chciał iść na szkolenie, chyba w ogóle nie było. Wzywano tylko świadomych młodych ludzi, którzy bardzo chcieli pójść do partyzantki. Ja wtedy miałem dopiero trzynaście lat, a też bardzo chciałem być partyzantem. Chętnych było więcej niż

Moskali nikt nie witał u nas z radością, natomiast Niemców początkowo powitano z wielkim zadowoleniem

tych, którzy mogli iść. Te szkolenia wojskowe przeprowadzano zresztą niedaleko od nas, a po szkoleniu ludzie trafiali do oddziałów. W tym samym mniej więcej czasie doszło do pierwszych potyczek ukraińsko-niemieckich. Pamiętam, że była jakaś akcja po tym, jak w Drohobyczu i Stryju Niemcy powiesili wielu ludzi. Lata 1943/44 w mojej pamięci to lata narastającej nienawiści do Niemców.

— *Co działo się w tym czasie z waszą rodziną?*

— Kiedy w 1941 roku przyszli Niemcy, zaczęto organizować naszą władzę. Tato został wybrany na kierownika wydziału rejonowego do spraw gospodarki rolnej. Był nim zresztą bardzo krótko, bo Niemcom i wydziały, i nasza władza były niepotrzebne, wkrótce więc go zwolnili. Jeszcze przez pewien czas mój ojciec był bardzo aktywny, ale ze względu na to, że miał kilka konfliktów z młodymi nacjonalistami, około 1942 roku odszedł od działalności politycznej. Stanicznym został pewien młody chłopak. Od tej pory mój ojciec usunął się w cień. Nie zmienia to faktu, że po starej znajomości w naszym domu bywało wielu ludzi. Przypominam sobie, jak pod koniec chyba 1943 roku melnykowcy² zaproponowali utworzenie dywizji SS „Halyczyna”. Do nas przyjechał Makarenko, pułkownik Ukraińskiej Armii Halickiej z 1918 roku, żeby werbować ludzi do dywizji. U nas w domu doszło do dyskusji z nim. Mój ojciec powiedział, że jest kategorycznie przeciw temu, by nasi ludzie szli do armii niemieckiej i walczyli o niemieckie interesy. Właśnie pod wpływem mojego ojca ani jeden młody człowiek z naszej wsi nie poszedł do tej dywizji. Pamiętam, że po tej rozmowie z Makarenką byłem bardzo dumny z mojego ojca: zwyciężył w dyskusji z tak wykształconym człowiekiem.

— *A jak wyglądały w tym 1943 roku stosunki z tymi Polakami, którzy jeszcze pozostali we wsi? W tym mniej więcej czasie zaczął się przecież polsko-ukraiński konflikt na Wołyniu.*

— U nas takiego konfliktu nie było. Ale kiedy na początku 1944 roku dowiedzieliśmy się o tym, co się dzieje na Wołyniu, mój ojciec poradził panu Kordalowi, żeby wyjechał do Lwowa. Kordal spakował się i wyjechał. Nie wiem, czy to prawda, ale doszły do nas słuchy, że dojechał tylko do w połowie polskiej wsi Berezdówce i tam dołączył do polskiego oddziału partyzanckiego.

² Melnykowcy — odłam Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów skupiający zwolenników Andrija Melnyka (1890–1964), współtwórcy formacji Strzelców Siczowych podczas I wojny światowej, od 1939 r. przewodniczącego Prowodu OUN, rzecznika współpracy z Niemcami (w 1944 r. jednak uwięziony w Sachsenhausen).

Do początku 1944 roku wyjechali ze wsi wszyscy Polacy aktywni politycznie, którzy mieli jakieś konflikty z naszymi Ukraińcami. Wyjeżdżali zresztą niedaleko — do miejscowości, gdzie było więcej Polaków, np. do Chodorowa, Bóbrki, to znaczy tam, gdzie była jakaś ochrona, gdzie można było przetrwać. Jeżeli chodzi o naszą wieś, istotnie był jeden napad na nią ukraińskich partyzantów — nie tyle nawet napad, co egzekucja, w której zginął jeden Polak, starszy człowiek, nie pamiętam jego nazwiska, miał na imię Kuba. Zdarzyło się to wiosną 1944 roku. Na tym zakończył się konflikt ukraińsko-polski w naszej wsi.

— *To znaczy, że do końca wojny pewna ilość Polaków mieszkała w waszej wsi?*

— Tak. Z naszej wsi wyjechało do miast może osiem polskich rodzin. Inne pozostały.

— *Jesteśmy w 1944 roku, nadciąga front...*

— Niemcy uciekli, do wsi wkroczył oddział bolszewicki. Zupełnie niepodobny do tego z 1939 roku. W nowych mundurach, z nową bronią, pasy błyszczą. Byłem zdumiony tą przemianą. Przeszli przez wieś nikogo nie zaczepiając. Po kilku dniach zobaczyłem, że do wsi zbliża się wojskowy, na piersi zwisa mu automat. Stoję i patrzę, co się będzie działo. Ten człowiek podchodzi do mnie i pyta: „Wiesz synku, gdzie mieszka Horyń Mykoła?” „Wiem.” „To pokaż.” Wyprowadziłem go daleko od naszego domu, pokazałem naszego dalekiego krewnego, który również nosił nazwisko „Horyń”. Mój rozmówca poszedł do tego Horynia, ja zaś pobiegłem do domu, żeby uprzedzić ojca, że go szukają. Tato oczywiście uciekł. Tak się zaczęło drugie podziemie mojego ojca. Ten człowiek (a był to oficer NKWD) w końcu przyszedł i do nas, ale ojca już w domu nie było.

Od tamtej pory mój ojciec się ukrywał. Jak to wyglądało? Wtedy we wsi panowała dwuwładza. Rankiem przyjeżdżał oddział bolszewików, który około czwartej, piątej odjeżdżał, po czym przychodzili partyzanci. Trwało to do końca 1944 roku. Pamiętam, że zaopatrzenie oddziałów partyzanckich w żywność było doskonale zorganizowane. Kontyngenty były dokładnie rozdzielone, każdy gospodarz wiedział, ile ma oddać masła, mięsa, pszenicy czy mąki. Dla partyzantów robiono nawet mydło. Te kontyngenty nie były w żadnej proporcji w stosunku do tego, co wyznaczali bolszewicy. Był staniczny, który je bardzo precyzyjnie rozdelał. W ogóle o działalności gospodarczej ukraińskiego podziemia trzeba by napisać książkę.

Między bolszewikami a partyzantami dochodziło co jakiś czas do potyczek. Zdarzyło się, że do wsi wszedł oddział „istriebitielnych batalionów”

i rozmieścił dwa karabiny maszynowe w naszym nowo pobudowanym, jeszcze nie zasiedlonym domu. Mogli stąd ostrzeliwać główną drogę, znajdującą się około pięćdziesięciu metrów dalej. W nocy do wsi przyjechał oddział partyzancki, jakies dwadzieścia furmanek. Partyzanci przyszli do chaty położonej na skraju wsi i zapytali, czy we wsi są Moskale. Ci z peryferii nie mieli pojęcia, że we wsi jest sowiecki oddział, bo „istribitieli” zjechali do wsi nocą, więc chłopci odpowiedzieli, że Moskale nie ma. Partyzanckie podwozy ruszyły i kiedy dojechały do naszego domu, Moskale otworzyli do nich ogień z kulomiotów. Zaczęła się strzelanina. Zdażyłem tylko zaciągnąć pod łóżko moją mamę, która była w ostatnim miesiącu ciąży. Po chwili usłyszałem kilka kolejnych wybuchów w szkole, która sąsiadowała z nami. Żołnierze sowieccy biegali z wodą. Po następnych kilku minutach usłyszałem warkot odjeżdżających samochodów — sowieci uciekali ze wsi. Było ich chyba ze stu pięćdziesięciu, partyzantów też chyba była setka. Później dowiedziałem się, co się wydarzyło. Kiedy dowódca oddziału partyzanckiego, zorientował się, że jest w pułapce, złapał dwa granaty przeciwczołgowe, skoczył ku szkole, gdzie ulokowała się główna część Moskale i zanim oni wyskoczyli na zewnątrz, wrzucił granaty do środka. Mnóstwo ludzi zostało zabitych i poranionych. Kiedy rano wstałem, zobaczyłem naprzeciwko furmankę, przy której leżał zabity koń. Nie było ani jednego zabitego partyzanta. Okazało się, że kiedy rozpoczęła się strzelanina, partyzanci wskoczyli do głębokiego rowu, który biegł obok drogi, dzięki czemu żadnemu z nich nic się właściwie nie stało. Od tej strzelaniny zaczęła się w naszej wsi wojna.

Kilka dni później zajechały samochody i ogłoszono, że wysiedlają nas na Sybir. Zaczęliśmy się zbierać. Była nas trójka: mój brat Bohdan, który miał już osiem lat, ja i mama. Zebrali nas wszystkich przeznaczonych do wywózki — jakies dwadzieścia rodzin. Mama powiedziała do Bohdana: „Uciekaj, idź do ciotki — jakoś się tam przechowasz”. Na małe dzieci nikt nie zwracał uwagi, więc Bohdanowi udało się uciec. Mama chciała, żebym i ja uciekał, ale mnie, czternastolatka, już pilnowali. Wieczorem uformowali kolumnę z nas i z mieszkańców sąsiedniej wsi. Rozciągała się na półtora kilometra. Żołnierze konwojowali nas z obu stron. Na naszej podwodzie furmanem był żołnierz. Wyjechaliśmy poza wies; mama po raz kolejny wypycha mnie, żebym uciekał. Ale jak tu uciec, kiedy żołnierz idzie obok żołnierza. W tym momencie ten, który powoził naszą podwodą odwraca się do mnie i mówi: „Uciekaj, synku, jak ty uciekniesz to i mama jakoś ucieknie, a jak teraz nie uciekniesz, to potem będą cię dobrze pilnować”.

— *Tak mówił żołnierz?*

— Tak, wyjątkowy żołnierz, pochodził z obwodu winnickiego. Dojechalismy do ostatniej wsi przed Chodorowem, tam zeskoczyłem z podwoły i szedłem obok konwojujących nas żołnierzy. W pewnych momencie zboczyłem niepostrzeżenie na podwórze, które właśnie mijaliśmy. Uciekłem. Mama pojechała dalej, ale po dwóch dniach i ona uciekła. Przenocowałem w tej samej wsi.

Nazajutrz zebrałem się wcześniej, żeby wrócić do domu. Ledwie wyszedłem na drogę, a tu z naprzeciwka jedzie wojskowy patrol. Wzięli mnie z sobą i zaprowadzili do szkoły we wsi Horodyszczce koło Chodorowa. Było tam już pełno aresztowanych ludzi. Głównym bohaterem wśród nich był przewodniczący Rady Wiejskiej. Widać było, że nie może znaleźć sobie miejsca. Okazało się, że enkawudysty przekonali go, by wskazał miejsce, gdzie ukrywa się jego syn partyzant — w zamian za obietnicę, że darują synowi życie. Kiedy NKWD znalazło kryjówkę, partyzanci zaczęli strzelać, żołnierze wrzucili gaz łzawiący, potem aresztowali wszystkich razem z przewodniczącym Rady. Doprowadzili ich do tej szkoły w Horodyszczu. Partyzantów posadzili pod płotem w miejscu, gdzie śnieg już stopniał. W pewnym momencie — widziałem to przez okno — do siedzących podszedł enkawudysta, zamachnął się i z całej siły kopnął w twarz syna przewodniczącego. Widziałem, że tamtemu wyleciały zęby. Zaraz potem żołnierze chwycili chłopaka za ręce i nogi i wrzucili do sali, w której siedzieliśmy. Ojciec rzucił się do syna, ale ten odwrócił od niego głowę. Po kilku minutach wpadli żołnierze i powlekli chłopaka do sąsiedniej klasy, gdzie przesłuchiowano partyzantów. Dochodziły do nas stamtąd straszne krzyki. Po dwóch czy trzech godzinach przywlekli chłopaka z powrotem — był już nieprzytomny. Ojciec czuwał nad nim i cały czas płakał.

W pewnym momencie przyszedł jakiś kapitan i zaczął wypytywać ludzi, dlaczego ich zatrzymano. Jedna z kobiet powiedziała, że zatrzymano ją, kiedy szła sprzedać kurę — kapitan kazał ją zwolnić. Kobieta była z mojej wsi, więc prosię, żeby mnie wzięła z sobą. Ona nie chciała, bo się bała, że napytam jej biedy. A ten oficer, który ją wypytywał, spojrzał na mnie i mówi: „Idź, synku”. W ten sposób uratowałem się po raz kolejny. Wróciłem do rodzinnej wsi. Po dwóch dniach przyszła mama. Żeby nie wpaść znów w ręce NKWD, pojechalismy do sąsiedniej wsi Jatwiahy — zatrzymaliśmy się u naszych krewnych. Cała nasza rodzina się uratowała, z tym, że ojciec był w lesie.

— *Stan dwuwładzy, o którym Pan mówił, trwał chyba do 1945 roku, kiedy sowieci zorganizowali wielką akcję przeciwko partyzantom?*

— W styczniu 1945 roku bolszewicy zorganizowali wielką obławę, którą nazwano akcją „Czerwona miotła”. Całe dywizje przeczesywały lasy i wsie. W pewnym momencie obławy dotarły i do nas. W okolicznych lasach doszło do walk między partyzantami a „Czerwoną miotłą”. Mojemu ojcu udało się stamtąd uciec. Ja zostałem z mamą, ojciec nie mógł do nas dołączyć, bo już wtedy wojsko stało w każdej wsi. Wojsko było po wsiach chyba tylko przez tydzień, ale bardzo skutecznie paralizowało kontakty pomiędzy wsiami. Właśnie w tym czasie zabrakło nam jedzenia, więc mama zaczęła mnie prosić, żebym pojechał do domu i przywiózł przynajmniej buraki. Pojechałem. Wziąłem trochę buraków cukrowych, ziemniaków i natychmiast ruszyłem w drogę powrotną. Po drodze wpadłem na enkawudystę: „Dokąd jedziesz?” „Kupiłem sobie trochę buraków i ziemniaków i wracam do domu”. Przepuścił mnie. I tym razem mi się udało. Ale po tamtej buraczanej diecie do dziś nie mogę patrzeć na słodycze.

W Jatwiahach był taki zawadiaka, Wasyl, który wciąż chodził z karabinem maszynowym. Pewnego razu jego ojciec zwrócił się do niego: „Wasylu, ciebie na pewno zabiją, więc zrobię dla ciebie trumnę i postawię w stodole”. Jak powiedział, tak zrobił. Cała wieś była oburzona: „Co ten stary robi, jak on tak może”. Kiedy przechodziła „Czerwona miotła”, Wasyl swoim kulomiotem powstrzymywał napór wojska. Partyzantom udało się wtedy wycofać, ale po jakichś dwóch miesiącach Wasyl zginął. Byłem na jego pogrzebie. Przed wyniesieniem ciała z domu przy otwartej trumnie ojciec pochylił się nad nią i powiedział: „A nie mówiłem ci Wasylu, że tak będzie. Jakże teraz mógłbym ci zrobić taką trumnę”. Ten obraz ciągle mam w pamięci.

— *W 1945 roku trwała wojna partyzancka, ale jednocześnie zaczynało się zwyczajne życie.*

— Po dwuletniej przerwie, jesienią 1945 roku poszedłem do siódmej klasy. Ponieważ dobrze się uczyłem, więc zrobiono mnie szefem nielegalnego Komitetu Uczniowskiego (Uczkom). Moje zadanie polegało na wymyślaniu jakiś akcji antyradzieckich. Na przykład, zbierałem starostów klas i zarządzałem, że na święto Jordanu nie przychodzimy do szkoły. Ale w szkole były również dzieci nomenklatury, więc żeby i one się w święto nie uczyły, w nocy z kolegami zabarykadowaliśmy wejście do szkoły.

W 1946 roku z okazji zbliżających się wyborów do Rady Najwyższej nasza uczniowska organizacja otrzymała polecenie rozrzucenia ulotek. Dyrektor szkoły, były oficer, major Hordijenko wezwał starostów wszyst-

kich klas, w tym także mnie, i zaczął wypytywać, czy nie mieliśmy czegoś wspólnego z tą akcją. Oczywiście zaprzeczyliśmy. Następnego dnia w toalecie pojawił się napis: „Hordijenko, przygotuj się na śmierć”. Wezwano kagiebiistów, którzy zaczęli sprawdzać charakter pisma wszystkich uczniów. Na szczęście nie znaleziono winnych. Partyzanci utrzymywali z nami stały kontakt, naszym zadaniem było rozrzucanie ulotek. Nikt z nas nie zapisał się do Komsomolu.

— *Wkrótce ukończył Pan szkołę średnią i zdał na studia.*

— Tak, w 1949 roku skończyłem z bardzo dobrymi wynikami szkołę średnią. Jednak ze względu na to, że nie byłem komsomolcem, nie dostałem złotego medalu. Zdecydowałem się zdawać na Uniwersytet Lwowski. Pod wpływem lektury Franki³ chciałem studiować filozofię, ale wtedy tego wydziału we Lwowie już nie było — wcześniej został przeniesiony do Kijowa. Resztki wydziału filozoficznego połączono z wydziałem filologicznym. Zdawałem więc na kierunek logiki i psychologii wydziału filologicznego. Pierwszego lub drugiego października przed studentami naszego wydziału występował Jarosław Hałań⁴. Do dziś nie mogę zapomnieć tego przemówienia. To było wystąpienie człowieka, który do żywego przejmuje się losem swojego narodu, rozumie jego dramat. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że Hałana zabito. Teraz, kiedy udostępniono materiały dotyczące okoliczności jego śmierci, widać, jak reżim nękał tego człowieka tuż przed jego śmiercią: wyrzucono go z redakcji nowo utworzonej lwowskiej gazety „Wilna Ukraina”, wyrzucono go też z redakcji „Literaturnej Hazety”, pozbawiono szeregu innych przywilejów. Oczywiście Hałań nie jest postacią jednoznaczną, przeszedł pewną przemianę, bo przecież pisał też straszne rzeczy, np. „Pluju na papu” („Pluję na papieża”). Najwidoczniej jednak przed śmiercią zmienił się wewnętrznie. Po jego zabójstwie władza przeprowadziła masowe aresztowania w środowiskach patriotycznej inteligencji we Lwowie.

Tymczasem na uniwersytecie utworzyły się kółka studenckie. Ja sam w tym okresie bardzo wiele czytałem. Pamiętam, że w księgarni zupełnie

³ Iwan Franko (1856–1918) — jeden z najwybitniejszych pisarzy ukraińskich z przełomu wieków, sławista, publicysta i działacz społeczny. Autor liryki refleksyjnej, powieści historycznych i powieści z życia robotników. Niezwykle płodny krytyk, badacz literatury, folkloru i języka. Był człowiekiem — instytucją kulturalną.

⁴ Jarosław Hałań (1902–1949) — pisarz, dziennikarz, działacz komunistyczny. Szczególnie aktywny podczas II wojny światowej i zaraz po wojnie jako przedstawiciel władzy radzieckiej na zachodniej Ukrainie. Według oficjalnej wersji zamordowany przez ukraińskie podziemie.

przypadkowo udało mi się kupić wydaną w 1947 czy 1948 roku dwutomową „Historię dyplomacji” w języku rosyjskim. Natychmiast oznaczyłem ją swoimi inicjałami. Po jakimś czasie poznałem studenta z wydziału ekonomicznego, nie pamiętam jego nazwiska, na imię miał Iwan. I właśnie ten Iwan poprosił mnie, bym mu tę książkę pożyczył. Pożyczyłem. Po dziesięciu dniach został aresztowany. Byłem przekonany, że KGB wycisnie z niego, od kogo pożyczył tę książkę — były tam przecież moje inicjały — i uzna mnie za jego współpracownika. Iwan na szczęście niczego nie powiedział, pozostałem na wolności.

Na pierwszym roku mieszkałem w jednym pokoju z Anatolijem Ferzukiem, studentem wydziału geologii. Pewnego dnia Anatolij oznajmił mi, że idzie na spotkanie z podziemiem i zapytał, czy nie miałbym ochoty pójść razem z nim. Ochotę miałem, ale uważałem, że bez uprzedzenia Anatolij nie powinien nikogo na spotkanie przyprowadzać. Umówiliśmy się, że pójdzie sam, ale uprzedzi swojego rozmówcę, że następnym razem przyjdę i ja. Anatolij czekał przeszło godzinę, ale konspirator nie przyszedł. Okazało się, że po drodze na umówione spotkanie został aresztowany. Opowiem, jak to wyglądało, żeby Panie zdały sobie sprawę, jaka była wtedy, w 1949 roku, atmosfera we Lwowie. Rzecz dzieła się na ulicy Akademickiej, po której spacerowała zwykle młodzież. Nagle wszystkie wyloty ulicy blokują samochody i zaczyna się sprawdzanie dokumentów. W pewnym momencie słychać strzały, ktoś zostaje aresztowany, ktoś się ostrzeliwuje, padają zabici. Nie inaczej zresztą było i poza Lwowem. Kiedy jechało się do domu, milicja kolejowa sprawdzała dokumenty i bagaże pasażerów.

— *Czy na studiach nie próbowano zmusić was do poparcia nowej władzy?*

— Tak, takie próby oczywiście były. W pewnym momencie zaczęto naciskać na mnie, żebym zapisał się do Komsomołu. Wzywano mnie, przeprowadzano rozmowy wychowawcze, a ja mówiłem twardo: nie. Pewnego razu przychodzi do domu, a tam czeka na mnie list mniej więcej takiej treści: „Wiemy, że nie wstąpiliście do Komsomołu, ale jesteście nam potrzebni, dlatego uważamy, że powinniście do Komsomołu wstąpić”. List był anonimowy, napisany na maszynie do pisania, tak jakby od podziemia. Niedługo po tym liście sekretarz organizacji partyjnej odbył ze mną rozmowę, która sprowadzała się do tego, że albo wstąpię do Komsomołu albo wyrzucą mnie z uniwersytetu. „Co wyście się tak wszyscy uparli, żebym zapisał się do Komsomołu? Wy mnie zachęcacie, żebym wstępował, podziemie chce, żebym wstępował, a ja nie chcę”. Za jakiś czas, to był

1953 rok, zwołano zebranie, podczas którego wyrzucono mnie z uniwersytetu.

Co miałem w tej sytuacji zrobić? Wracać do domu mi się nie chciało, więc zapisałem się do udziału w ekspedycji dialektologicznej, której celem było badanie folkloru na terenach, gdzie walczyła Dywizja SS „Hałyczyna”, tzn. okolice Brodów, wsie Bonyszyn, Biłyj Kamiń. Spędziłem tam całe lato, zrobiłem wiele interesujących nagrań, po czym wróciłem do domu i dopiero wtedy powiedziałem rodzinie, że wyrzucono mnie z uniwersytetu.

— *Ale jednak udało się Panu ukończyć studia.*

— Na moje szczęście właśnie w tym czasie rektorem Uniwersytetu Lwowskiego został nadzwyczajny człowiek — akademik Łazarenko. Był on wtedy stosunkowo młody, około 45 lat, był bardzo utalentowanym geologiem, a jego podręcznik z mineralogii przetłumaczono na niemiecki i szwedzki. Postanowiłem do niego pójść. Rozmowę zacząłem od tego, że nie mam pojęcia, dlaczego wyrzucono mnie z uniwersytetu. „Widział Pan nakaz?” — zapytał Łazarenko. „Nie widziałem, ale było przecież ogólne zebranie na wydziale, oficjalnie mi zakomunikowano, że jestem wyrzucony”. Akademik poradził mi, żeby sprawdzić, czy jest w tej sprawie pismo. Okazało się, że żadnego dokumentu nie było. Tego tylko było trzeba Łazarence: wydał dziekanowi pisemne polecenie, by ten dopuścił mnie do wszystkich egzaminów. Poszedłem do mojego dziekana, Moroza, z tym pismem. Ten skrzywił się: „Jak rektor napisał, żeby cię przeegzaminować, to musimy to zrobić”. Miałem wtedy zdawać pięć egzaminów, wszystkie dziekan wyznaczył mi na dzień następny. Zdałem je na piątkę. W efekcie na piątym roku otrzymałem podwyższone stypendium.

Mój piąty rok studiów przypadł na 1953 rok — rok śmierci Stalina. W związku z tym wydarzeniem organizowano uroczyste przyjęcia do partii i Komsomołu — to się nazywało zaciąg stalinowski. Po raz kolejny wezwano mnie i postawiono ultimatum: jeżeli chcę ukończyć uniwersytet, muszę zapisać się do Komsomołu. Zrobiło mi się strasznie żal mojej czteroletniej pracy i w wieku 24 lat, kiedy inni opuszczali tę organizację, ja zapisałem się do Komsomołu i już bez przeszkód ukończyłem w 1954 roku uniwersytet. Jednak ze względu na to, że moim krewniakiem był Lebed', na studia doktoranckie mnie nie przyjęto. Pojechałem uczyć na wies. Po roku zostałem inspektorem rejonowego wydziału oświaty, w następnym roku dyrektorem szkoły. Pracowałem we wsiach rejonu drohobyckiego i borysławskiego. Ale ciągle marzyłem o tym, aby zając się pracą

naukową. Co jakiś czas próbowałem dostać się na studia doktoranckie. Udało mi się to dopiero w 1961 roku, kiedy dostałem się do zakładu psychologii i fizjologii pracy. Tam też zdałem egzaminy i przygotowywałem pracę doktorską.

Rozmawiały Bogumiła Berdychowska i Ola Hnatiuk

Mychajło Horyń (ur. 1930), jedna z głównych postaci ruchu lat szesdziesiątych na Ukrainie. Aresztowany w 1965 roku i skazany za 6 lat więzienia za propagandę antyradziecką. Pod koniec lat siedemdziesiątych wydaje „Biuletyn” Ukraińskiej Helsińskiej Grupy. Ponownie aresztowany w 1981 r. i skazany na 10 lat łagru oraz 5 lat zesłania. Od 1982 r. członek Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Współzałożyciel „Ukraińskiego Wisnyka” (w 1988 r.). Obecnie animator Ukraińskiej Partii Chrześcijańsko-Republikańskiej.